

Henryk J. Muszyński

Moje kaszubskie korzenie

Acta Cassubiana 12, 233-239

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

abp Henryk J. Muszyński
(Gniezno)

Moje kaszubskie korzenie

Mówią, że na starość człowiek chętnie wraca do swoich korzeni. Tak się dzieje również w moim życiu. Dopóki pełniłem czynną, pełną posługę najpierw biskupa, potem arcybiskupa, a w końcu nawet Prymasa, niewiele pozostawało mi czasu na zastanowienie się nad własnymi korzeniami i nie tylko. Urwały się prawie całkowicie bliskie więzy, nawet z najbliższą Rodziną. Po prostu nie miałem osobistego życia; cały mój czas i wysiłek służył posłudze pasterskiej. Jeżeli coś zbywało, trzeba było przynajmniej od czasu do czasu napisać coś tytułem dawanych powiązań naukowych, najczęściej do jakiegoś *Festschriftu* lub z jakiejś znaczniejszej okazji lub uroczystości.

Teraz, po osiągnięciu statusu seniora (bo w Kościele nie ma emerytury!), mam jakby więcej czasu. Stąd gdy prof. Józef Borzyszkowski zwrócił się do mnie z prośbą, by napisać coś o swoich związkach z Kaszubami, chętnie przyjąłem tę propozycję. Byłbym wewnętrznie niespokojny, gdybym tego nie uczynił.

Nigdy nie ukrywałem, że jestem i czuję się Kaszubą. Chociaż wobec Kaszubów nie chwaliłem się tym, bo nie mówię po kaszubsku, ale wobec innych z dumą powtarzałem niektóre kaszubskie porzekadła, a nawet gdy mi się w jakiś stronach podoba, zwykłem mówić: prawie tak pięknie jak na Kaszubach!

U nas w domu mówiło się po polsku, stąd moja znajomość kaszubskiego jest bardzo ograniczona. Znam tyle, ile nauczyłem się ze słuchu. Na dodatek nigdy nie wiem, czy jest to poprawne. Moje wczesne dzieciństwo przerwała okupacja. Już 31 sierpnia 1939 roku ewakuowano naszą rodzinę przed frontem niemieckim do Warszawy, Lublina, Chełma Lubelskiego nad sam Bug. Szczęśliwie cała rodzina przeżyła czas ucieczki. Kiedy wróciliśmy do Kościerzyny, mieszkanie było już zajęte przez Niemców. Przez cały okres wojny mieszkaliśmy w rodzinnej miejscowości mojej matki w Wysinie, w pobliżu Kościerzyny. Ojciec nie wrócił jednak z nami. Kiedy po przybyciu na Pomorze dowiedział się, że prawie wszyscy z jego otoczenia zostali rozstrzelani lub wywiezieni, ukrywał się aż do czasu zakończenia

Sonderaktion, czyli czystki etnicznej, obejmującej całą inteligencję pomorską, trudną do zgermanizowania.

Tereny Pomorza Gdańskiego zostały wcielone do Rzeszy, a ludność, którą na nich pozostawiono, poddano ostrym rygorom germanizacji. Wraz z Matką należeliśmy także do tej kategorii. Istniał oficjalny zakaz używania języka polskiego w miejscach publicznych. Po wprowadzeniu obowiązku szkolnego dla polskich dzieci, bardziej służył on germanizacji niż nauce. W domu – jak wspomniałem – mówiło się po polsku, w szkole należało mówić po niemiecku, nawet jak ktoś nie umiał, a w wiosce mówiło się po prostu *po naszymu*. Był to oczywiście język polski z najróżnorodniejszymi naleciałościami: germańskimi, gwarowymi i kaszubskimi. W czasie uroczystości weselnej – zapewne podobnie jak w innych regionach – w odpowiedzi na pierwszy czuły i serdeczny pocałunek nowożeńców, bardziej doświadczeni zwykli mówić: *Nie gorszta się, to im stoi zu*, co oznaczało, proszę się nie gorszyć, jako małżonkowie mają do tego pełne prawo. Ciekaw jestem, co językoznawcy powiedzieliby na taki język?

Cały mój świat, jaki poznałem podówczas (nie licząc wojennej ewakuacji), rozciągał się pomiędzy Kościerzyną, Wysinem, Gdańskiem, który raz miałem okazję oglądać w czasie okupacji. Był on dla mnie znakiem wielkiego, nieznanego świata.

Trudno się dziwić, że po zakończeniu wojny miałem poważne trudności z tożsamością językową. Byłem bardzo zdziwiony, że gdzie indziej ludzie nie wiedzieli, co to jest *bożamęka* (*figura przydrożna*), nie znali takich wyrażen, jak: *gbur* (gospodarz), *dzwierze* (drzwi) czy *bulwy* (ziemniaki) wraz z pochodnym od niego *bulewiskiem* (pole ziemniaczane); znali być może kierunek: *wprzód*, ale i *nazad*, i wiele innych. Byłem przekonany, że święte feretrony, noszone w czasie procesji i na pielgrzymce, wszędzie „kłaniają się i kołyszają” i to w rytmie tego samego hejnału jak w Kościerzynie. Wydawało mi się, że to jest zwyczaj nie tylko polski i kaszubski, ale także katolicki i kościelny. Kiedy w szkole średniej polonistka skreślała mi w zeszycie niektóre wyrazy, pytając, skąd je wziąłem?, byłem przekonany, że to ona się myli. Dziwiłem się, że nie zna tak prostych i zwyczajnych słów, które są przecież znane na całym (czytaj: moim!) świecie.

Lata szkoły średniej 1947–1951 prawie zbiegły się ze złotym wiekiem stalinizmu. Język i kultura kaszubska były zaledwie tolerowane w ramach folkloru regionalnego. Nie można było oczywiście całkowicie pominąć dziejów małej Ojczyzny i wymazać z pamięci zbiorowej takich postaci, jak Florian Ceynowa czy znanych na Kaszubach postaci i utworów Hieronima Derdowskiego: *O Panu Czorlińszcim, co do Pucka po sece jachoł* lub Aleksandra Majkowskiego *Žěcé i przigodě Remusa*. Wszystko to było jednak traktowane jako folklor minionych czasów, a jeżeli wskazywano na walor kulturalny, to raczej w kontekście walki z Niemcami i Prusakami.

Czuwano jednak uważnie, aby jakiekolwiek zjawiska i próby organizacyjne nie wymknęły się spod kontroli. W zbytnej oddolnej aktywności władze były

skłonne upatrywać objawy rewizjonizmu. Życie publiczne musiało być reglamentowane w najdrobniejszych szczegółach i to zarówno w szkole, jak i poza nią. Z wdzięcznością wspominam jednak swój udział w zespole kaszubskim w Kościerzynie, kierowanym przez prof. Lubomira Szopińskiego. Owszem, śpiewaliśmy tutaj pieśni kaszubskie, jak *Gdzie je nasz tatk?* Prof. Szopiński potrafił mnie uwrażliwić na precyzję, dokładność i umiłowanie piękna muzyki, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny.

Odpowiednie „czynniki” czuwały również nad tym, by do folkloru nie wniknęło zbyt wiele elementów religijnych czy patriotycznych. Uważano je bowiem za niebezpieczne dla internacjonalizmu proletariackiego, który zapowiadał nową, szczęśliwą epokę społeczeństwa bezklasowego bez Boga. Chyba każdy w młodym wieku stawał w tym czasie wobec konieczności wyboru pomiędzy dawną Ewangelią Jezusa Chrystusa, rzekomo przestarzałą i niegodną człowieka wykształconego, a nową ewangelią przyszłości, którą głosił marksizm.

Na szczęście życie biegło w dużym stopniu nadal niezależnym torem. Znajdowało – Bogu dzięki – swoje dopełnienie w kościele, gdzie wciąż śpiewano: *Boże coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały* – słowa budzące nadzieję i otuchę; czy nawet *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*, pieśń stanowiącą wyraz już prawie czynnej opozycji wobec nowej rzeczywistości.

Jeżeli folklor był ściśle kontrolowany, to sposoby modlitwy wyrosłe z polskiej i kaszubskiej duszy były pielęgnowane spontanicznie. Nikogo nie trzeba było do nich namawiać, ani o nich przypominać, przeciwnie, im bardziej były zwalczane, tym głośniej były śpiewane i żarliwiej wyznawane.

Życiu codziennemu towarzyszyły także liczne kaszubskie pozdrowienia i porzekadła. Dopiero gdy ktoś nie umiał odpowiedzieć na słowa: *Boże przeżegnaj* albo *Boże pomagaj*, uświadamialiśmy sobie, że pozdrowienie to ma charakter lokalnie ograniczony. Pewnie nikt z nas nie umiał też powiedzieć, czy to jest polskie, czy kaszubskie. Te dwie rzeczywistości były identyczne, nakładały się na siebie. Więcej, „kaszubskie” na pewno znaczyło dla większości z nas „prawdziwe” i niekomunistyczne.

Kiedy dziś, z perspektywy przeszło 50 lat, myślę o tej rzeczywistości, dostrzegam, że moje młodzieńcze przeżycia stanowią jak gdyby tło, które pozwala mi się obecnie szczerze cieszyć ze wszystkich objawów dynamicznego rozwoju kultury, działalności i twórczości kaszubskiej. Ruch młodokaszubski nabrał ogromnego dynamizmu, Kaszubi w Polsce i za granicą są dumni ze swojego pochodzenia i dziedzictwa. Mogłem się o tym przekonać, bawiąc jako biskup na Kaszubach w Kanadzie.

Dopiero w seminarium w Pelplinie dowiedziałem się, ku mojemu zdziwieniu, że Diecezja Chełmińska obejmuje nie tylko Kaszuby z Puckiem, Kartuzami i Kościerzyną, ale też dalekie Pomorze z Toruniem, Ziemię Lubawską i sięga aż po Działdowo. Tutaj po raz pierwszy zetknąłem się z prawdziwymi Kaszubami, którzy nie tylko przyznawali się, ale i mówili pomiędzy sobą po kaszubsku.

Pośród kleryków grupa kaszubska była nie tylko znaczącą, lecz często wiodącą w życiu seminaryjnym.

Szczególnie dwa momenty, tym razem już nie tylko folkloru, ale prawdziwej kultury kaszubskiej, utkwiły mi w pamięci. Pierwszy to obrzęd wyboru i namaszczenia króla kaszubskiego. Był to zwyczaj, który odziedziczyliśmy od naszych poprzedników, choć nikt nie umiał dokładnie powiedzieć, od kiedy on obowiązywał. Mówiło się powszechnie, że od niepamiętnych czasów. Trudno zaprzeczyć, że w konkretnym kontekście historycznym okresu stalinowskiego była to pewna forma manifestacji niezależności i samodzielności. Jednakże dla nas, kleryków był to bardziej rodzaj zabawy, niż wyraz świadomej manifestacji. Król był co prawda namaszczany tak, jak nakazywał niepamiętny, biblijny zwyczaj, tyle że nie olejem z prawdziwych oliwek, który ma piękną tradycję sięgającą czasów Mojżesza, a zwykłym tranem rybnym, pochodzącym prawdopodobnie z Gdańska.

Drugi moment, który mocno utrwalił się w mojej pamięci, to zwyczaj praktykowany przez ks. prof. Bernarda Sychtę. Wykładał on w tym czasie teologię pastoralną. Dzielił się z nami swymi bogatymi doświadczeniami jako długoletni kapelan zakładu psychiatrycznego, ale równocześnie zbierał materiał do słownika języka kaszubskiego. Obok podręcznika związanego z treścią wykładu przynosił ze sobą małe kartki, na których wypisane były mniej lub bardziej zrozumiałe dla nas słowa i pytał: jakich nazw używają w różnych okolicach na określenie poszczególnych, wypisanych na jego kartkach terminów. Czynił to zawsze z wielkim zainteresowaniem i cieszył się szczególnie, gdy ktoś wniósł coś nowego i oryginalnego. Ze strony kleryków nie spotykał się ze zbyt dużym uznaniem dla swoich wysiłków; byliśmy raczej skłonni uznać to za rodzaj swoistego dziwactwa. Dopiero z perspektywy czasu okazało się, że zbierał materiał do swojego wielkiego, siedmiotomowego *Słownika gwar kaszubskich na tle kultury ludowej*.

Dziś znany jest jako jeden z najwybitniejszych kaszubskich językoznawców. Wspomniany wyżej słownik to wielkie dzieło jego życia. Pracował nad nim przez lata z istic benedyktyńską cierpliwością i dokładnością. Jest to pewnie ostatni zbiór tego rodzaju jako dzieło jednego człowieka. W późniejszym okresie, gdy obok wykładów w Pelplinie razem z ks. prof. Januszem Pasierbem otrzymałem dodatkowe stanowisko przy Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, miałem radość być sublokatozem właśnie u ks. Bernarda Sychty. Dało mi to okazję do bliższego poznania go nie tylko jako uczonego i duszpasterza, ale także jako wspańskiego kapłana i człowieka. Urzekł mnie nie tylko za młodu, ale także i wtedy swoją ogromną erudycją, mądrością, skromnością i pokorą. Nie waham się powiedzieć, że był jednym z wielkich i jednocześnie wspańiających uczonych naszych czasów.

Mój żywot biskupi rozpocząłem jako niegodny następca w urzędzie wielkiego Syna Ziemi Kaszubskiej, dziś sługi Bożego Konstantyna Dominika. Odczytuję to jako wielki znak Boga, że święcenia biskupie przyjąłem dnia 25 marca 1985 roku w tej samej katedrze pelplińskiej, w której 57 lat wcześniej, dnia 25 marca 1928

roku, konsekrowany był śp. biskup Dominik. Pomimo upływu czasu cieszy się on niesłabnącym kultem, czego wyrazem jest jego grób znajdujący się na cmentarzu w Pelplinie. Dla mnie jest on ojcem i orędownikiem na drodze mojego życia i biskupiego posługiwania. Modłę się ustawicznie o jego wyniesienie do chwały ołtarzy. Jestem przekonany, że w Jego Osobie mam nie tylko potężnego Orędownika w niebie, ale także niedościgniony wzór i przykład dla mojej biskupiej posługi.

Było moją wielką radością, że na święcenia biskupie stawili się licznie moi kaszubscy ziomkowie z różnych stron Kaszub. Nie ukrywam, że cieszyłem się z ich przyznania się do mnie, ponieważ zawsze czułem się i czuję nadal Kaszubą. Jednakże kiedy w roku 1986 został wyniesiony do godności biskupiej mój serdeczny Przyjaciel, ks. bp Andrzej Śliwiński, urodzony w Werblini koło Pucka i mówiący biegle po kaszubsku, wyznali: *Terô momë wreszce richtig Kaszëba*.

Jako biskup pomocniczy chełmiński rozpocząłem swoje pasterzowanie pod okiem dziś śp. ks. abp. Mariana Przykuckiego. Obok nominacji na stanowisko wikariusza generalnego nieistniejącej już dziś Diecezji Chełmińskiej otrzymałem prawie dokładnie w tym samym czasie nominację na Wikariusza Biskupiego Wybrzeża Chełmińskiego, z siedzibą przy parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni. Ponieważ nie godziło się, aby wikariusz biskupi pozostawał pod władzą proboszcza, otrzymałem dodatkowo nominację na proboszcza tejże parafii, po znanym powszechnie proboszczu i działaczu społecznym ks. prałacie Hilarym Jastaku.

Byliśmy podwójnymi ziomkami, o tych samych kaszubskich i kościerskich korzeniach. Wielki Syn Kaszub był nie tylko gorącym patriotą polskim, ale i kaszubskim. Tuż przy wejściu do jego rezydencji wisiało znane wszystkim Kaszubom „rysowane abecadło kaszubskie”, które trzeba było nie tylko odczytać, ale i wyśpiewać:

To je krótczi, to je dłudzi

To cesarza stolëca...

Nie ukrywam, że początkowo szło mi bardzo trudno, ale ks. prałat Jastak nie poprzestawał w swoich wysiłkach, dopóki nie nauczył mnie śpiewać tego pięknego abecadła do końca. Przyznaję, że polubiłem je i niekiedy nucę je samemu sobie, całkiem prywatnie. Nie bez racji zwykłem nazywać ks. prałata Jastaka Arcykaszubą. W moim rozumieniu jest to określenie bardzo zaszczytne, bo Arcykaszuba to nie tylko ktoś więcej niż pospolity Kaszuba, to Kaszuba wyjątkowy, świątły, mądry i na domiar wszystkiego także pobożny. Na ile bowiem mogę ocenić, pobożność jest również jedną z bardzo ważnych cech Kaszubów. Jest moją wielką radością, że właśnie po ks. prałacie Jastaku i jeszcze przed obecnym bp. Janem Bernardem Szlągą – Biskupem Pelplińskim zostałem zaliczony do grona Honorowych Obywateli miasta Kościerzyny. W ten sposób został utrwalony ten szczególny związek, który złączył dwóch synów Ziemi Kościerskiej i Kaszubskiej nie tylko wspólnym powołaniem, posługą kapłańską, proboszczowaniem w jednej

i tej samej parafii, ale także tym samym obywatelstwem honorowym Kościerzyny. W moim przypadku do pełni pozostaje jedynie dopisanie daty śmierci.

Późniejsza moja posługa biskupia upływała już dalej od Małej Kaszubskiej Ojczyzny, najpierw we wschodnich Kujawach – we Włocławku, następnie na zachodnich – w Inowrocławiu, a także na Pomorzu w Bydgoszczy. I tak byłem najpierw od urodzenia Pomorzaninem, następnie „adoptowanym” Kujawiakiem, i wreszcie po przeszło 23 latach pobytu w Gnieźnie najpierw adoptowanym, a potem także rzeczywistym Wielkopolaninem.

Szczycę się tym, że nie tylko Kościerzyna, ale także wszystkie pozostałe kolejne miasta – Włocławek, Gniezno i Bydgoszcz, gdzie miałem okazję pełnić swoją duszpasterską posługę, zaszczyliły mnie honorowym obywatelstwem.

Na zakończenie mojego długoletniego pasterzowania, na krótki czas po Kardynale Prymasie Józefie Glempie, miałem okazję pełnić także urząd Prymasa Polski. Jest to dzisiaj wprawdzie godność jedynie honorowa, mogłem się niejednokrotnie przekonać, że nie tylko moi byli i obecni diecezjanie, ale także Kaszubi cieszyli się z tego faktu. Często otrzymywałem życzenia, które dawały temu wyraz, że Syn Ziemi Kaszubskiej został Prymasem. Doświadczyłem tego wielokrotnie nie tylko w Gnieźnie, ale także w Kościerzynie, Pelplinie, Bydgoszczy i gdzie indziej. Szczególnie uroczyste powitanie przygotowali nowemu Prymasowi w rodzinnej Kościerzynie oraz w Pelplinie. W miejscu mojego chrztu świętego, gdzie się wszystko zaczęło, ks. prałat Marian Szczepiński – miejscowy proboszcz, wraz z parafianami ufundował nawet osobną tablicę pamiątkową.

Muszę przyznać, że Kaszubi od samego początku towarzyszyli mi i towarzyszą we wszystkich ważniejszych uroczystościach, jak 50-lecie mojego kapłaństwa, 25-lecie posługi biskupiej czy przy objęciu prymasostwa. Zdarzyło mi się również słyszeć zastrzeżenia: dlaczego tak krótko? Zwykłem odpowiadać: Pan Bóg ma właściwe miary dla wszystkich i na każdą okazję. W Kościele nie ma co prawda emerytury we właściwym tego słowa znaczeniu, ale „sędziwy wiek” – jak pięknie zwykł mawiać Jan Paweł II – ma także swoje prawa. Po ukończeniu 77 roku życia, z łaski i życzliwości Pana, przybył mi jeszcze jeden wymowny tytuł: *Senior*, na który trzeba było pracować i czekać przez całe życie.

Z okresu mojej gnieźnieńskiej posługi ze szczególną wdzięcznością wspominam osobę śp. prof. Gerarda Labudę. Pomimo, że całe jego dojrzałe życie związane było z Uniwersytetem Adama Mickiewicza w Poznaniu, do śmierci – jak zwykł mawiać – pozostał prawdziwym Kaszubą w Poznaniu i nie tylko mówił, ale także śnił i myślał po kaszubsku. Z prof. Labudą nawiązałem bardzo serdeczną przyjaźń. Był bez wątpienia nie tylko najlepszym znawcą życia i dziejów św. Wojciecha, ale także gorącym obrońcą stołeczności Gniezna. Wielokrotnie, szczególnie z okazji organizowania Zjazdów Gnieźnieńskich, korzystałem z jego życzliwej i kompetentnej pomocy zwłaszcza w sprawach naukowych. Dzięki prof. Labudzie zostałem obdarzony wielkim zaszczytem, by wręczyć Janowi Pawłowi II dwie jego

monografie: o św. Wojciechu i o św. Stanisławie. Przy tej okazji mogłem się przekonać, jak wielkim szacunkiem darzył Pana Profesora.

Poczytuję sobie to za wielki honor, że miałem okazję żegnać go i wypowiedzieć nad jego trumną w rodzinnym Luzinie na Kaszubach słowa serdecznej wdzięczności i uznania.

Wyraziłem już wyżej moje uznanie z powodu dynamicznego rozwoju kultury i języka kaszubskiego w najnowszym okresie naszej historii. Wiąże się to w dużym stopniu z działalnością Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i innych żywych środowisk i organizacji kaszubskich. Ukoronowaniem tej działalności jest wydanie drukiem całego Pisma św. Nowego Testamentu, który w języku kaszubskim brzmi: *Święte Pismiona Nowého Testameńtu*, w tłumaczeniu Eugeniusza Gołąbka, staraniem tegoż właśnie Zrzeszenia. Jest dla mnie wielkim zaszczytem, że moje nazwisko figuruje obok prof. Edwarda Brezy, prof. Jerzego Tredera i Jana Trepczyka, wśród opiniodawców przekładu. Przy tej okazji pragnę jednak wyjaśnić, że swoją pozytywną opinię wydałem nie bez pewnego wahania i wątpliwości. Dzisiaj bowiem nowe tłumaczenia zwykło się dokonywać z języków oryginalnych. Tymczasem badając składnię, słownictwo i układ tekstu, mogłem stwierdzić wyraźną zależność od Biblii Tysiąclecia. Stąd trudno mi było wydać jednoznacznie pozytywną opinię w sprawie nowego tłumaczenia kaszubskiego.

Cieszę się, że mój znakomity kolega, biskup Jan Bernard Szlaga znalazł bardzo szczęśliwe i oryginalne rozwiązanie w formule: *na podstawie Biblii Tysiąclecia skaszëbił*. Jak mi ustnie wytłumaczył, *skaszëbił* znaczy także przetłumaczył. Tłumacz zaś, pan Eugeniusz Gołąbek mówi: *Moja adaptacëjo Nowého Testameńtu na kaszëbsczie* (str. 11). Ze swej strony gratuluję szczęśliwego pomysłu i mogę jedynie wyrazić ubolewanie, że sam nie odkryłem wcześniej tej możliwości.

Przedstawione wyżej krótkie osobiste wspomnienie niech będzie wyrazem mojej serdecznej wdzięczności wobec moich kaszubskich Ziomków i zarazem wyjaśnieniem, a poniekąd nawet usprawiedliwieniem moich stosunkowo rzadkich kontaktów z Kaszubami, co wiązało się z moją dotychczasową posługą. Ufam, jeśli Bóg pozwoli, że będę miał okazję jeszcze nieco nadrobić dotychczasowe zaniedbania.